

Kryzys nasz powszedni

10 września 2009

Na temat obecnej sytuacji gospodarczej można by ukuć taki dowcip: „Dlaczego Polacy niezbyt mocno przejmują się kryzysem gospodarczym? Bo byliśmy już w gorszej sytuacji”.

Trudno bowiem uznać, że katastrofą stanie się na przykład takie załamanie rynku pracy – znane choćby z Irlandii, którą, sam już nie wiem, doganiamy, przeganiamy czy naśladujemy – w efekcie którego bezrobocie wzrośnie dwukrotnie. Bezrobocie dwa razy wyższe niż obecnie, czyli na poziomie niemal 20 procent, mieliśmy przecież zaledwie niespełna dekadę temu. Taki kryzys to my znamy z czasów, które ponoć kryzysowe nie były.

Wspomniany gorzki żart mógłby skierować nas ku refleksjom nieco głębszej natury. Otóż dzisiejszy kryzys ekonomiczny zdaje się być stopniowym procesem, nie zaś gwałtownym tąpnięciem. Owszem, bańka spekulacyjno-kredytowa pękła z wielkim hukiem, a nagłówki gazet zarościły się od katastroficznych wizji. Ale obecny kryzys to nie zapaść lub zawał serca, lecz ciężka choroba przewlekła.

O ile poprzedni Wielki Kryzys wynikał z kumulacji problemów ekonomicznych, o tyle dzisiejszy zdaje się być potwierdzeniem prognoz tych analityków, którzy z ekonomią nie mają wiele wspólnego. Wśród nich jest np. John Gray, który trafnie zauważył, że sednem sprawy nie jest krach finansowy, lecz synteza rozmaitych krachów, nie zawsze tak wyraźnie i bezpośrednio nas dotykających, abyśmy potrafili dostrzec je równie łatwo.

Dzisiejszy kryzys to nie tylko skutek neoliberalnej doktryny, podkopującej kolejne zabezpieczenia i systemy kontroli gospodarki przez instytucje państwa, ale także skutek przeobrażeń towarzyszących tej ideologii w innych sferach życia. Neoliberalizm to typowa rewolucja pożerająca własne i

cudze dzieci. O ile jego XIX-wieczny odpowiednik, zwany dzikim kapitalizmem, posiadał wbudowane pewne hamulce (co prawda etycznie mało wyszukane) – jak paternalizm wobec słabszych, postfeudalna struktura społeczna czy pewien mesjanizm cywilizacyjny – o tyle on sam zrodził się w świecie pozbawionym takich wartości i postaw, a ekspansja tej prymitywnej doktryny jedynie pogłębiła ów problem. Z poprzedniego kryzysu ekonomicznego można było się ratować czy to za pomocą silnego państwa, czy dzięki mocnym więziom społecznym, czy w szeregach masowych ruchów społecznych, czy też odkrywając nowe obszary ekspansji. Dziś, po trzech dekadach neoliberalizmu, państwo jest słabe, więzi międzyludzkie mizerne, społeczeństwo zatอมizowane i zdeintegrowane, a ekspansję ogranicza krucha sytuacja ekologiczna. I na tym właśnie polega sedno kryzysu Anno Domini 2009: nawet jeśli nasze otoczenie materialne jest o niebo lepsze niż to sprzed 80 lat, to jednocześnie my sami jesteśmy dużo słabsi niż ludzie tamtej epoki, mamy też znacznie mniejsze pole manewru. I dlatego kryzys dotyka nas codziennie, nie tylko wtedy, gdy na drugim końcu świata załamuje się rynek kredytów hipotecznych.

Z tego względu niewiele warte są takie rozważania antykryzysowe, które koncentrują się na kwestiach technicznych lub na decyzjach politycznych. Na trwałe z tego kryzysu można wybrnąć tylko wtedy, gdy odbudujemy tkankę społeczną i ekologiczną, a gospodarkę sprowadzimy na powrót do roli służebnej wobec zbiorowości ludzkiej w jej różnych wymiarach terytorialnych, etnicznych i klasowych. Naiwna jest wiara, że wyjść z dołka można poprzez państwowe dotacje do fabryk samochodów czy telewizorów, albo poprzez ratowanie banków, które udzielą nam kolejnych kredytów na samochody i telewizory.

Dla stałych czytelników „Obywatela” nie są to rzeczy nowe. O tym, że panujący system znajduje się na krawędzi załamania, pisaliśmy już kilka lat temu. Dziś możemy to samo powtórzyć

jeszcze dobitniej, choć bez satysfakcji. A ponieważ od ekonomii jednak uciec się nie da, inaugurujemy nowy dział. „Gospodarka Społeczna” spróbuje nam podpowiedzieć, jak może wyglądać produkcja i konsumpcja, które zmniejszają ryzyko kryzysu, są stabilne społecznie oraz służą nam, obywatelom, nie zaś bankierom i menedżerom. Zaczniemy jednak ten numer od próby refleksji, czy kryzys ekonomiczny dotknął tych, których powinien – Joanna Szalacha przekonuje, że niekoniecznie tak się stało.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [„Obywatel” nr 2/2009](#)